

Mariusz Pryc

KRZYWIEC – MOJE MIEJSCE NA ZIEMI

Moje pierwsze wspomnienia dotyczą pieszej wędrówki od tramwaju do domu dziadków. Szło się najpierw drogą, która w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku była pokryta tzw. szlaką. Kilka razy jako mały chłopiec przewróciłem się, a drobinki tych odpadów, zapewne hutniczych, bezlitośnie wbijały się w kolana czy łokcie. Przystanek linii 43 z Łodzi do Lutomska był przy obecnej ul. Klonowej, wiodącej m.in. do Żabiczek. Dalej wchodziło się w las, a za nim były już pola i rodzinne gospodarstwo rodziców mojej mamy.

Krzywiec stał się dla mnie bajkową krainą dzieciństwa i przez długie lata pozostał osobnym światem, do którego wracaliśmy w weekendy, wakacje, wszystkie święta i ferie. To było miejsce z innego czasu i przestrzeni, istniejące poza realnością małego mieszkania w bloku z wielkiej płyty na łódzkim Widzewie. Natomiast dla mojej mamy to była rodzinna wieś, gdzie dorastała, chodziła do szkoły, przeżywała swoje pierwsze miłości. Nasze rodzinne wędrówki przypadły na lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte XX w. czyli epokę gierkowską i kryzys schyłku PRL.

Dzieci przyjmują rzeczywistość taką, jaka jest, i nie oceniają niczego. Fakt, że u babci codziennie wodę trzeba było nosić wiadrami ze studni czy palić w piecu, był tak samo dla mnie normalny jak ciepła woda w kranie w mieście. Na wsi z pewnością najbardziej bałem się toalety. To były dwa osobne murowane pomieszczenia, dostawione do obory, usytuowane nad ogromnym szambem. Były zawsze wybielone. W środku leżał mały stosik starych pociętych gazet. Dziura w desce dawała wgląd w istne czeluści, prawie piekielne. Siadałem delikatnie na brzegu i modliłem się, by nie wpaść do środka. Otchłań przypominała o sobie, bo od spodu zawsze wiało chłodem i smrodem. W czasie wakacji w miarę zapełniania się szamba głębia stawała się mniejsza; nie zmieniło do faktu, że wciąż straszyla. Wrzucaliśmy tam podpalone gazety, żeby zobaczyć, co jest w środku – niewiele to pomagało. Dorosli się chwalili, że tak sobie ogrzewają deskę w zimne dni.

Próbowałem, nic to nie dawało. Gazety były tam obecne do późnych lat dziewięćdziesiątych, czyli do końca użytkowania tych swoistych przybytków mądrości. Wtedy też koegzystowały z papierem toaletowym, który mimo o niebo większej delikatności jednak nie nadawał się do czytania. Pod koniec XX w. zamieszkująca domostwo dziadków rodzina brata mojej mamy przeprowadziła się do nowego domu zbudowanego na terenie posesji od strony drogi. Tym samym stare kibelki definitywnie wyszły z użycia. Poza tym, mając elegancki sedes i kanalizację, nie można było już używać gazet. No i bezpowrotnie straciliśmy potrzebę kupowania papierowej prasy codziennej.

Z tym szambem wiąże się pewna rodzinna historia. Do babci przyjechała kiedyś jej bratanica, dla mnie znana jako ciocia Hania. Miała wtedy jakieś 20 lat. Była młoda, piękna, wystrojona i świeżo po tzw. słowie z chłopakiem. Przyjechała pokazać pierścioneł zaręczynowy. Moja mama – wtedy mała dziewczynka – wyprosiła od niej ten pierścioneł. Chciała trochę ponosić, ale niestety paluszki dziecka okazały się dużo mniejsze. Pierścioneł z łatwością zsunął się i wpadł w czeluści toalety. Był płacz, lament, a nawet krzyki, istna tragedia i wstyd. Dorośli starali się wymyślić, co zrobić, aby ten pierścioneł odzyskać. Motywacja była bardzo silna, chodziło nie tylko o szczęście bratanicy, ale były to późne lata czterdzieste, raczej nikomu się w gospodarstwie nie przelewało. Perspektywa odkupywania złotego drobiazgu była dość przerażająca dla wąskiego budżetu rodzinnego. A poza tym chodziło też o honor, bo po prostu córka gospodarza domu zgubiła w kiblu pierścioneł bratanicy. Co robić? Było kilka pomysłów: zejść na dół i wybrać wszystko. Szambo było pełne, czyli kilkadziesiąt tysięcy litrów. Rodzina postawiła na metodę nieco pośrednią, wybierano po troszeczkę, po czym przesiewano zawartość przez sitko. Z tego opowiadania mam ciągle przed oczami obraz kilku dorosłych schylonych nad wiadrem i wnikliwie analizujących ten „materiał zebrany”. Podobno osiągnęli sukces, pierścioneł udało się znaleźć. Musiało tak być naprawdę, bo nie ma rodzinnej legendy o nadal leżącym w szambie złotym skarbie.

Moi dziadkowie osiedlili się chyba w końcu stycznia lub na początku lutego w 1945 r., ponieważ już 23 lutego w domu w Krzywcu urodził się ich najmłodszy syn. Przed wojną mieszkali blisko, na wsi Rszewek, gdzie urodziła się moja mama i jej siostra. Tamtego starego gospodarstwa już nie ma, zostało połączone w czasie wojennej okupacji niemieckiej z sąsiednią

posesją. Wydarzeń z lat czterdziestych nie udało mi się nigdy poukładać chronologicznie. Pozostały tylko jakieś urywki wspomnień, głównie dziecinnych, mojej mamy, babcia nam niewiele opowiadała o tamtych czasach. Wiem, że gdy wybuchła wojna we wrześniu 1939 r., mój dziadek, czyli ojciec mamy, trafił na front. Był gdzieś pod Warszawą. W tym czasie moja babcia była w Rszewku z dwiema małymi córkami: roczną moją mamą i jej dwuletnią siostrą. Po kapitulacji dziadek w polskim mundurze wrócił do domu. Od razu został pobity przez Niemców, czyli też jego dawnych kolegów, którzy już dumnie chodzili po Konstantynowie Łódzkim. Zabrali mu mundur i cały ekwipunek. Następnego dnia po tym zajściu, ku przerażeniu swojej żony, dziadek poszedł do urzędu i kazał sobie wszystko oddać. Podobno mundur mu wtedy zwrócono, choć może to tylko legenda.

Nie wiem, dlaczego i kiedy dokładnie dziadek w czasie okupacji został zesłany na roboty do fabryki amunicji w Pionkach. Podejrzewam, że trafił tam z tzw. łapanek, spontanicznie zorganizowanej przez władze okupacyjne. Babcia została w Rszewku z dziećmi. Wtedy zapewne rozeszła się wieść, że resztę Polaków będą wywozić na roboty do Niemiec, by miejscowe gospodarstwa zasiedlić Niemcami. Wtedy babcia podjęła trudną, a nawet brawurową decyzję. Zostawiła starszą córkę u teściowej, razem ze swoim mocno starym już ojcem. Do tzw. bauera na roboty pojechała tylko z moją mamą. Przez wiele lat taki przebieg wydarzeń wojennych wydawał mi się rozsądny, bo przecież z jednym dzieckiem łatwiej, wszak drugie zostało bezpiecznie z dziadkami. Kiedy urodził się mój syn, zrozumiałem tragiczny wymiar tamtych problemów. Przez pierwsze lata życia mojego dziecka trudno mi było go zostawić u kogoś na pół dnia. A babcia musiała zostawić córkę i nie miała w ogóle żadnego kontaktu ani z dzieckiem, ani ze swoimi rodzicami.

Tymczasem teściowa mojej babci, a moja prababcia, znalazła dla siebie ochronne wyjście z trudnej wojennej sytuacji. Podpisała volkslistę. Być może stało się tak, gdyż jedna z jej córek jeszcze przed wojną wyszła za mąż za sąsiada, który był Niemcem. Chociaż może dzięki temu dostała po prostu lepsze kartki i uniknęła wysiedlenia, jak wielu jej sąsiadów. Jej mąż okazał się tylko pozornie słuszny, ponieważ jej najmłodszy syn, brat mojego dziadka, po osiągnięciu 16 lat dostał wezwanie do Wehrmachtu. Z niemiecką armią był pod Stalingradem, Odessą; z nimi uciekał później w stronę Berlina. Gdzieś pod drodze udało mu się z wojska zdezerterować.

Ale jego urodzony po wojnie syn jeszcze w szkole doświadczał szykan ze strony kolegów za niemiecko-żołnierskie losy swojego ojca.

Natomiast babcia z małą mamą została wysiedlona do gospodarstwa w Ostrowie Wielkopolskim, wtedy na terenie Rzeszy. Z tamtego czasu moja mama pamięta, że chodziła wśród ludzi siedzących w hali fabryki Karola Steinerta i braci Schweikertów w Konstantynowie Łódzkim i prosiła o „mięsko”. Był to obóz przejściowy dla ludności przesiedlanej, który był czynny w latach 1940–1943. Poczucie niezaspokojonego głodu pozostało z moją mamą już na całe życie, zresztą zawsze była trochę bardziej pulchna niż reszta jej rodzeństwa.

Dziadkowi udało się wymknąć z Pionek chyba na początku 1942 r. Za przyjaźniony z nim lekarz postawił fałszywą diagnozę, stwierdzając, że jest chory na gruźlicę. Pozwolono mu wrócić do rodziny. I już w grudniu tego roku babcia urodziła trzecie dziecko, syna. Znalazłem kiedyś zdjęcie dziadka z tego okresu. Musiał być bardzo wyczerpany, bo wyglądał jakby miał 50 lat. Szybko obliczyłem, że naprawdę miał 35, może 37 lat. Babcia była od niego ponad 10 lat młodsza.

Nie wiem, dlaczego w 1945 r. dziadkowie wybrali Krzywiec i gospodarstwo Turschów. Zapewne znali ich jeszcze sprzed wojny. Babcia wspominała wielokrotnie imiona właścicieli i ich dzieci. Zaraz po zajęciu gospodarstwa dziadek ściął ogromne dęby, które rosły przy domu. Zrobił z nich krzyż i postawił przy wjeździe z głównej drogi w stronę zabudowań posesji wraz z małą kapliczką Chrystusową. Z reszty drewna ufundował ogromne drewniane krzyże na cmentarz przykościelny w Konstantynowie Łódzkim. W Krzywcu drewniany krzyż służył wiele lat jako drogowy. Mówiło się, że przy krzyżu w lewo i dojedziesz do gospodarstwa. Przy nim też odprawiano nabożeństwa majowe. W latach siedemdziesiątych zamieniono go na metalowy, pomalowany na liliowy róż z białymi końcówkami. Wyglądało to trochę dziwnie. Babcia prowadziła dookoła mikroogródek, którym później zajmowała się jej synowa, żona najmłodszego z braci mojej mamy. Po zbudowaniu kościoła parafialnego w Rąbieniu proboszcz ks. Andrzej Mikołajczyk postanowił zamienić krzyż na kapliczkę Matki Boskiej. Rodzina Tomaszewskich, która od lat prowadzi zakład kamieniarski w Krzywcu, dała płyty granitowe i wykonała całą budowlę. Teraz stoi przy drodze, nadal stanowi punkt orientacyjny dla nowych mieszkańców, ale w naszej rodzinie zniknął sentyment, który mieliśmy do dziadkowego krzyża. Jego spon-

taniczny powojenny gest miał charakter dziękczynny za ocalenie z pożogi wojennej całej rodziny. On przeżył, jego żona i wszystkie dzieci, których było czworo. Wiele rodzin nie miało tyle szczęścia.

Niby gospodarstwo w Krzywcu było duże, ale dobrej ziemi nie było wiele. Dom i wszystkie pomieszczenia gospodarcze były przeznaczone dla ok. 10–12 krów i paru świń, kur oraz królików. Dla mnie, małego chłopca, to był cudowny świat. Dorastałem trzy dekady po wojnie. Dla rodziny był to szczególny okres.



Kapliczka w Krzywcu, 2025. Fot. I. Powalska

Dziadek był mocno schorowany, leżał głównie w łóżku. Na gospodarstwie z całego rodzeństwa został tylko ich najmłodszy syn. Reszta dzieci wykształciła się i osiadła w Łodzi, we Wrocławiu i w Gdańsku. Latem do babci przyjeżdżały wszystkie wnuczeta, a moi kuzyni i kuzynki. Spędzaliśmy wakacje razem, trochę pomagając w obejściu, głównie jednak myszkując po różnych zakamarkach i wygrzebując relikty przeszłości. Do dzisiaj jestem pełen podziwu i nieukrywanej wdzięczności dla wujostwa za cierpliwość oraz wyrozumiałość. Dyskretnie udawali, że nie wiedzą, że dzieci włączą na drzewa, bawią się siekierą w rąbanie drewna lub rzucają widłami do celu. Na traktor wsiadłem w wieku chyba 12 lat, czyli jak tylko mogłem wcisnąć sprzęgło. To był C330, zwany przez wszystkich pieszczotliwie Ciapkciem. Ojciec wytłumaczył mi, jak działają biegi i hamulec, a potem padła komenda: siadaj i jedź! Latem po prostu ktoś był potrzebny do podjeżdżania na polu. Dzieci nie miały tyle siły, by na widły nadziać i podrzucić słomę czy siano, więc od takiej pracy były odsunięte. Moją naukę jazdy przyspieszyło parę drastycznych uwag dorosłych, którzy denerwowali się, że ruszam za szybko. Do stodoły wujek wjeżdżał zwykle sam, ponieważ wrota były niewiele szersze od przyczepy. Krążyły opowieści, że niektórzy sąsiedzi zdołali przejechać stodołę na wylot przy pierwszych próbach traktora.

Pamiętki po poprzednich właścicielach gospodarstwa dziadków były wszędzie. Pamiętam naczynia fajansowe na napisami *Mehl* (mąka) lub *Zucker* (cukier), chociaż służyły do przechowywania innych produktów. Większość mebli też była polnieiecka. Wraz z upływem czasu wychodziły z użycia, były zastępowane przez inne, nowsze. Nadal stoi w kuchni mojego wujka drewniany stół z dwiema ogromnymi szufladami. Zawsze w jednej były dokumenty bieżące, głównie gospodarsko-hodowlane, jakieś nakazy podatku lub świadectwa szczepień itp. Druga była bardziej przyjazna dzieciom, tam trzymało się chleb i bułki. Czasami masło lub smalec, jak został z kolacji lub śniadania. Stół ma chyba ponad sto lat i wciąż jakoś się trzyma, mimo że ogromną maszynkę do mielenia mięsa na kiełbasy przybijano zawsze gwoździami bezpośrednio do blatu.

Najdziwniejszym urządzeniem pamiętającym poprzednich właścicieli było coś, co wuj wykorzystywał jako poidło dla owiec wystawiane w zagrodzie na zewnątrz. Przypominało trochę rzeźbę, jakby abstrakcyjną figurę w kształcie arabskiej cyfry osiem, ale z grubym brzuchem i małą głową. Ścianki z blachy sprawiały wrażenie podwójnych, a z boku był jakby piecyk

albo kociołek. Jako dziecko nie mogłem zrozumieć, co to właściwie jest, zadawałem pytania. W końcu wuj, męczony przez przyszłego studenta politechniki, odpowiedział: To jest wanna. No tak, ale po co owcom wanna? Cierpliwy wuj wytłumaczył, że to była stara wanna do kąpeli, do której wkładało się węgle, by utrzymywały ciepło, pomiędzy podwójne ścianki lało się wodę. To było urządzenie luksusowe. Była zepsuta, wiele jej części gdzieś zniknęło, służyła jakiś czas w gospodarstwie, a potem przerdzewiała i poszła na złom. Wiele lat później zobaczyłem, że podobną wannę z piecykiem miał Napoleon Bonaparte. Woził ją ze sobą na wszystkie prowadzone przez jego armię kampanie wojenne. Być może było ich kilka, a jedna została zagubiona w trakcie wyprawy. Wiadomo, że cesarz Francuzów spędził dłuższy czas w Kutnie, oddalonym co prawda od Krzywca, ale nie tak bardzo odległym.

Rytuałem wakacyjnym było pranie. Na początku babcia używała tary i całe wydarzenie nazywano w rodzinie „świętem morza”. Być może dlatego, że w okresie letnim brudną wodę wylewano na podwórko. Potem nastąpiła epoka pralki Frania, która działała niezawodnie przez wiele lat dzięki prostocie konstrukcji. To urządzenie po prostu nadawało się do każdego domu, w którym był prąd. Wystarczyło nalać wody do wielkiego bębna, zapuścić silnik, nastawić czasomierz i już. W latach osiemdziesiątych ciocia z wujkiem kupili pralkę automatyczną. Były to wtedy bardzo zawodne urządzenia, bo nasza w Łodzi w blokach zdążyła w ciągu niespełna dwóch lat użytkowania przeżyć wymianę silnika i dwukrotnie programatora.

W Krzywcu problem z użyciem pralki automatycznej był podstawowy. Bo jak podłączyć tak nowoczesne urządzenie w miejscu, w którym nie ma bieżącej wody w kranie? O dziwo, początkowo można było do niej nalewać wodę ręcznie, ponieważ konstruktorzy przewidzieli takie kłopoty. Ale wtedy trzeba było przy pralce czuwać, jak przy ognisku, i co chwila dolewać wody, szczególnie przy płukaniu. Cała procedura była żmudna i mało praktyczna. Potem wszyscy mężczyźni w rodzinie uradzili, że trzeba to jakoś inaczej rozwiązać, by usprawnić pranie. Mój ojciec, inżynier po Politechnice Łódzkiej, obliczył, że trzeba podłączyć beczkę na wysokości trzech metrów. Znaleźli taką, co mieściła dwa tysiące litrów, zrobiono dla niej specjalną konstrukcję z bali na zewnątrz budynku, a potem podłączono wąż z beczki do pralki. Skomplikowana konstrukcja zadziałała i służyła parę lat. Nie można było z niej korzystać tylko w trakcie ciężkich zim, bo zwyczajnie woda zamarzała, ciotce wtedy pozostawała tylko metoda ręczna. Parę lat

później wuj został sołtysem i wraz z mieszkańcami zbudował wodociąg dla Krzywca. Wszelkie problemy z pralką zostały wtedy od razu rozwiązane.

Wiadomo, że krowy muszą mieć cielaki, bo inaczej nie ma mleka. Co oznacza, że porody w mlecznych gospodarstwach muszą odbywać się regularnie, czyli mniej więcej raz do roku. Im większe gospodarstwo, tym częściej. Niektóre krowy rodzą bez problemów. Zdarzało się, że rano cielę biegało po oborze lub na polu. Dość często niestety trzeba było je z krowy wyciągać, a to nie jest takie łatwe. Krowy hodowlane nie są selekcjonowane do porodu, tylko do produkcji mleka. Cielaki najpierw wychodzą przednimi nogami, potem głowa i cała reszta. W trakcie porodu do nóg przywiązuje się specjalne troczki. Potrzebna jest też ścisła współpraca z przyszłą krowią matką. Ludzie ciągną za przednie nogi, a ona dzielnie prze. Raz kiedyś jak ciągnęliśmy za cielę, to urwaliśmy pół betonowego koryta, do którego wcześniej uwiązano krowę. Po jednych takich wakacjach – to już było chyba podczas moich studiów – koledzy opowiadali, jak to spędzili czas na łonie przyrody i mieli bliskie kontakty z naturą. Nie wytrzymałem i im powiedziałem: Co wy tam wiecie o kontakcie z naturą. Poród u krowy odbieraliśmy miesiąc temu, to bliżej natury chyba się nie da. Wśród moich kolegów zapadła cisza.... Potem wszystkie porody krów w Krzywcu zostały nazwane „kontaktem z naturą”. Wuj przestał hodować krowy w okolicy roku 2010.

Zanim powstał kościół w Rąbieniu, co niedziela z Krzywca chodziło się do sąsiedniego lasu w Żabiczkach. Tam była mała kapliczka siostr zakonnych przy niewielkim domu dla księży emerytów. Żabiczki były osadą letniskową, znaną jeszcze przed wojną. Latem tam zjeżdżali łodzianie na wakacje. Nawet nie przypuszczałem, że moją przyszłą żonę poznam właśnie w trakcie letniego pobytu u babci. W czasie wakacji do dziadków przychodzili letnicy kupować jajka, mleko, jakieś warzywa, miód z pasieki. Babcia wysyłała mnie na pole albo do domu, by przynieść, co potrzeba, a sama konwersowała z gośćmi. Zawsze była ciekawa sąsiadów i świata. Te rozmowy to był taki ówczesny Facebook, dzięki temu po prostu na wsi i w okolicy wszyscy wiedzieli wszystko – i to o wszystkich. Często kupujący przyprowadzali ze sobą jakieś dzieciaki. Te patrzyły zwykle na nas trochę dziwnie, jak to miastowe na wiejskie. Było w tym trochę podziwu, trochę strachu, bo my mieliśmy kontakt z dużymi zwierzętami, jak np. krowa, potrafiliśmy też łapać kury. Wiele lat później, gdy do Krzywca przywiozłem moją narzeczoną, okazało się, że będąc blond dziewczynką z dwoma długimi warkoczami, przychodziła do mojej babci latem. Wtedy mnie zatkało,

że wychowaliśmy się na tych samych jajkach i mleku, może kiedyś przez chwilę bawiliśmy się razem na podwórku. Życie nas czasem potrafi zaskoczyć.

W końcu lat dziewięćdziesiątych postawiłem w Krzywcu dom dla siebie i swojej rodziny. Mieszkamy tu razem, chociaż czasami życie zawodowe nas gdzieś gna po świecie. Zawsze wracamy. Dla naszej rodziny Krzywiec jest naszym domem, miejscem na ziemi, po prostu naszym światem.